

Feminizm? O czym my właściwie rozmawiamy?

Autor tekstu: **Anna Salman**

Uznałam, że najwyższy czas podjąć temat, pojawiający się w mediach oraz w prywatnych rozmowach, wręcz jako jeden z tematów dyżurnych. Od czasów Stańczyka ^[1] nasze społeczeństwo wzbogaciło się o ekspertów w tylu dziedzinach, że medycyna utraciła palmę pierwszeństwa. Feminizm jest jedną z takich właśnie dziedzin, w której większość jest (czuje się) ekspertami. Jest też oczywiste, że większość ekspertów to mężczyźni, zgodnie z zasadą, że kobiety wypowiadają się, gdy mają coś do powiedzenia, mężczyźni — gdy mają po temu okazję. Zdecydowałam się przełamać ten schemat, bo — nawet nie mając wiele do powiedzenia — jako kobieta, socjolożka i feministka nie czuję się mniej kompetentna od znamienitych poprzedników.

Jestem feministką dość nietypową, bo świadomość tego faktu zyskałam nie w wyniku głębokich przemyśleń, lecz po lekturze kilku linijek w „Słowniku wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych” ^[2]. To epokowe wydarzenie miało miejsce w moim mieszkaniu, gdzieś na początku lat 90-tych (informacja dla przyszłych biografów) i sprowokowane zostało zmasowaną nagonką na feministki, które nagle wyszły na prowadzenie w rankingu zagrożeń dla naszej młodej demokracji. Nie chcąc uchodzić za ignorantkę sprawdziłam, co też kryje się pod hasłem, które znalazło się nagle na cenzurowanym.

Definicja okazała się krótka — **„feministka zwolenniczka feminizmu, ruchu dążącego do politycznego i społecznego równouprawnienia kobiet...”** ^[3]. Tylko tyle i aż tyle. Prawdę powiedziawszy nie sądziłam wcześniej, aby równouprawnienie społeczne było czymś szkodliwym. W PRL-u przejawy dyskryminacji były widoczne, jednak **na poziomie deklaracji** obowiązywała równość płci oraz bezklasowość — ot, taka ówczesna poprawność polityczna. W dodatku środowisko, w którym dorastałam było w pełni egalitarne i nie wartościowało ludzi płciowo, etnicznie, religijnie (większość stanowili ateści), czy w jakikolwiek sposób. Jedyne kryteria oceny, jakie stosowano to mądry — głupi, leniwy — pracowity, ale też z dość dużą dozą tolerancji dla ludzkich słabości.

I tak oto, w wieku niespełna 30 lat, dzięki definicji słownikowej zostałam świadomą feministką, czyli osobą, którą byłam wcześniej wskutek wychowania, tyle że nieświadomie. Nie chwaliłabym się zapewne swoją wcześniejszą ignorancją, gdyby nie dotarło do mnie, że większość „ekspertów” do spraw feminizmu nigdy nie odrobiła nawet tej — podstawowej lekcji. Kilka lat później uzupełniłam wiedzę, sięgając po nowsze opracowanie — **„Feminizm** podejście do życia społecznego, filozofii i etyki, mające na celu usunięcie uprzedzeń, które prowadzą do podporządkowania kobiety lub zlekceważenia jej szczególnego doświadczenia...” ^[4]. Widocznie nie jestem zbyt bystra, bo dość dużo czasu zajęły mi przemyślenia, dlaczego równouprawnienie lub walka ze szkodliwymi stereotypami mogą wywoływać tak agresywną reakcję różnych środowisk. Teraz już wiem, że główną przyczyną jest właśnie ignorancja i mający w niej źródło zwyczaj przyswajania przekonań podzielanych przez większość.

Jednak nawet niewiedza i skrajna bezrefleksyjność nie usprawiedliwia tego, z czym na ogół mamy do czynienia, gdy tylko pojawia się hasło feminizm. Pominę tu wynurzenia pewnej posłanki (właściwie pani poseł, jak sama chce, aby ją tytułowano), której poglądy ostatnio zyskały nieoczekiwane i całkiem niezasłużone na popularności. Czy jednak inne osoby publiczne rzeczywiście rozumieją istotę tego zjawiska, będącego przecież podstawowym wręcz elementem demokracji? Może to nie ci, którzy atakują feminizm, bo widocznie zagraża ich interesom, lecz raczej jego zadeklarowani zwolennicy płci obojga, którzy nie bardzo wiedzą, o czym mówią czynią więcej szkody, niż pożytku.

Należy zacząć od tego, że **feminizm ma rację bytu tylko w przestrzeni publicznej**. Równouprawnienie oznacza równość wobec prawa, czyli normalny status obywatela płci obojętnej. W historii mieliśmy wiele form dyskryminacji różnych grup społecznych — etnicznych, religijnych, klasowych, przerabialiśmy również niewolnictwo. Członkowie tych grup stopniowo zyskiwali podmiotowość, czasem wskutek przewrotów społecznych, częściej jednak w wyniku wzrostu wrażliwości społecznej członków grup uprzywilejowanych i dzięki ich wsparciu. Emancypacja kobiet przebiegała różnie w różnych krajach, co związane było z poziomem rozwoju społecznego lub klimatu politycznego, jaki panował w danej części świata. Obserwując to, co dzieje się dziś w niektórych państwach muzułmańskich widać wyraźnie, że owe prawa obywatelskie nie są bynajmniej czymś otrzymanym „na zawsze”, tym bardziej więc należy uważać, aby ich nie

utracić.

Równouprawnienie oznacza pełnię praw obywatelskich, w tym prawa wyborcze — czynne i bierne oraz równy dostęp do stanowisk i dochodów przy takich samych kwalifikacjach. Celowo nie piszę „równe szanse”, gdyż to akurat teoretycznie jest zagwarantowane. Przy czym prawem podstawowym, już nawet nie obywatelskim, lecz ludzkim jest prawo do decydowania o własnym życiu i zdrowiu. **Feminizm nie obejmuje** natomiast **sfery prywatnej**, w tym relacji rodzinnych. Na przykład to, że kobiety kilkakrotnie częściej padają ofiarą przemocy domowej (i nie tylko) wynika z tego, że są fizycznie słabsze. Oczywiście nie usprawiedliwiam napastników, jednak przemoc wobec kobiet, inna niż ta, z którą mamy do czynienia w przestrzeni publicznej nie jest kwestią feministyczną. Przemoc w ogóle stanowi problem, z którym jakoś uporać się nie możemy, a jej ofiary mimo dużego zróżnicowania na ogół łączy jedno — konieczność funkcjonowania w środowisku, które przemoc akceptuje. Ponadto mówienie o przemocy domowej w kontekście feminizmu spycha na dalszy plan inne ofiary — dzieci, osoby starsze, czy niepełnosprawne. Rośnie też grupa mężczyzn — ofiar przemocy domowej, których problemy są ignorowane, a niekiedy wręcz wyśmiewane.

Istotną natomiast i **zdecydowaną feministyczną kwestią** jest **przemoc w przestrzeni publicznej**. Mamy przepisy i organizacje coraz skuteczniej walczące z przejawami przemocy wobec mniejszości etnicznych, wyznaniowych, czy nawet seksualnych. Na tym tle działalność środowisk feministycznych wypada dość blado. Jest to efekt zakodowanego u większości przekonania, że taki a nie inny sposób traktowania kobiet wpisany jest w naszą tradycję. Co konkretnie mam na myśli? — Wszechobecny protekcjonalizm i odmawianie kobietom prawa do podejmowania decyzji, czy też nawet wypowiedzianie się we własnych sprawach. Z reguły dokonuje się to pod płaszczykiem troski o dobro kobiety i rodziny, oczywiście rodziny tradycyjnej, cokolwiek by to miało znaczyć. Dlaczego jednak kobiety uznawane są za zbyt głupie, aby decydować o własnym życiu? Bo mimo oficjalnego uznania nas za obywatelki, nie zakorzeniło się przekonanie, że jesteśmy pełnowartościowymi ludźmi. Słabą jest przy tym pociechą, że w naszym kraju większość obywateli traktowana jest w taki sposób, gdy usiłuje uzyskać realny wpływ na sprawy istotne dla ich życia i przyszłości kraju.

Przemoc wobec kobiet w przestrzeni publicznej przejawia się w różnych formach. Podstawowa dotyczy oczywiście spraw reprodukcji. To, z czym mamy do czynienia od lat 90-tych w Polsce oznacza właśnie przejęcie przez państwo kontroli nad tym aspektem życia, co z perspektywy feministycznej jest de facto kontrolą nad kobietami i odebraniem nam części podstawowych praw. I nie chodzi tu o często przywoływane „prawo wyboru”, co sugeruje, że ogólnie zgadzamy się z wykładnią religijną, jakoby aborcja była zabójstwem, ale należy pozwolić kobiecie podjąć decyzję (że ma dokonać zabójstwa?! — ciekawa interpretacja). W tym przypadku chodzi o decyzje dotyczące dysponowania własnym ciałem oraz jakością życia. To akurat wchodzi w zakres praw podstawowych, ponoć gwarantowanych konstytucyjnie, które zostały kobietom odebrane pod naciskiem radykalnych ideologów Kościoła [5].

W założeniu cały ten szum wokół „obrony życia nienarodzonych” ma stwarzać wrażenie wielkiej wrażliwości na ludzką krzywdę, realnie jednak deprecjonuje on kobietę, już nawet nie jako obywatelkę, lecz po prostu człowieka. Natomiast nawoływania niektórych księży, że w przypadku zagrożenia zdrowia czy życia kobiety powinna ona złożyć z siebie ofiarę na ołtarzu tej ideologii, jest niczym innym, niż mową nienawiści. Znamienne jest jednak, że w odniesieniu do przypadków pedofilii wśród duchownych KRK nie spotkałam się nigdy z argumentem o konieczności kastracji przestępców. A przecież dyskusja byłaby nie nad pozbawieniem kogoś życia, lecz ujęciem tej części ciała, z której (teoretycznie) nie korzysta.

Jednak jeszcze większym złem, niż ograniczenie dostępu do aborcji, jest dopuszczanie różnego rodzaju „klauzul sumienia”, oddających de facto los kobiet w ręce zakompleksionych, psychopatycznych ideologów, co doprowadziło już w naszym kraju do co najmniej kilku przypadków śmierci bądź trwałego okaleczenia kobiet oraz dzieci. Czy tego chcemy, czy nie chcemy, wszyscy, jako obywatele państwa demokratycznego mamy ich krew na rękach, w największym jednak stopniu ci, którzy optują za takimi przepisami, nie poczuwając się bynajmniej do winy w przypadku negatywnych konsekwencji.

Wydaje się, że podstawowym błędem jest traktowanie kwestii feministycznej — politycznej (społecznej), jako „kobiecej”. Stąd już bowiem tylko krok do przeniesienia punktu ciężkości ze sfery publicznej do prywatnej, a często wręcz odwołanie do specyfiki anatomii i fizjologii. Konsekwencją takiego ujęcia jest np. traktowanie macierzyństwa, jako zagadnienia feministycznego. Osobiście nie widzę tu żadnego pola manewru dla równouprawnienia płci. Pewnym krokiem w tym kierunku mogłoby być przyznanie prawa do adopcji parom gejowskim, jednak nawet to nie zniwelowałoby całego obszaru „dyskryminacji” mężczyzn, związanego z ciążą i porodem. Wątpię jednak, czy panowie przejawiają rzeczywistą wolę takich doświadczeń.

Role, które pełniimy w sferze prywatnej są zdeterminowane biologicznie, przez co mamy ograniczony bądź wręcz żaden wpływ na ich przydział w loterii życia. Bycie córką, matką, żoną, czy siostrą wynika wprost z bycia kobietą, natomiast bycie nauczycielką, sprzedawczynią, lekarką, czy policjantką jest z reguły efektem wyboru, opiera się na przesłankach merytorycznych i podlega ocenie według tego samego schematu, niezależnie od płci. Tymczasem obawiam się, że ten obszar zostaje wciąż poważnie zaniedbany a przynajmniej traktowany jest po macoszemu. Oczywiście można udowodnić, że płace kobiet i mężczyzn pracujących na tych samych stanowiskach stopniowo są zrównywane. Nie zmienia to jednak faktu, że gorzej opłacane są zawody tzw. sfeminizowane. Cieszą się one również niższym prestiżem społecznym, mimo że wiążą się zarówno z wykształceniem, odpowiedzialnością, jak i wysokim poziomem stresu. Najlepiej widać to na przykładzie oświaty. W czasach, gdy nauczycielami w szkołach byli głównie mężczyźni, należeli oni do elity towarzyskiej i mogli oczekiwać relatywnie wysokich zarobków. Wraz z napływem do tego zawodu kobiet, spadł poziom zarobków, a szacunek społeczny, widoczny jeszcze niekiedy w sondażach, przestaje być zauważalny w bezpośrednich relacjach nauczyciel(ka) — uczniowie. Odwrotną sytuację odnotować można w sektorze bankowym, jeszcze kilkanaście lat temu silnie sfeminizowanym i kiepsko opłacanym. Od lat 90-tych notuje się stały napływ mężczyzn i nieproporcjonalny często do wkładu pracy wzrost zarobków.

Również przemysł odnotował swoiste „sukcesy” na tym polu — zamykanie zakładów tekstylnych w latach 90-tych i związane z tym zwolnienia kilkudziesięciu tysięcy pracowników, nawet w części nie przyciągnęły takiej uwagi mediów, jak groźba strajku w kopalni. Zjawisko **systemowej dyskryminacji** zdecydowanie należy uznać za patologię, która powinna być zwalczana wszelkimi środkami. Tym bardziej, że pochodną dyskryminacji kobiet na rynku pracy są kolejne patologie: prostytutka z braku alternatywy zarobkowej oraz zjawisko, które w mojej ocenie traktowane powinna być na równi z gwałtem - „praca za seks”. Obydwa traktowane są raczej, jako sensacje medialne, gdy przynajmniej drugie z nich, będące przecież efektem przemocy ekonomicznej, jest czymś gorszym, niż „zwykły gwałt”, stawia bowiem ofiarę w takiej sytuacji, że pozornie sama zgadza się na poniżenie.

Przemoc o charakterze seksualnym jest w ogóle traktowana w bardzo specyficzny sposób. Ofiara gwałtu przedstawiana jest z reguły jako współwinna, a samo przestępstwo jest często przedmiotem niewybrednych żartów. W efekcie mamy niejako podwójny gwałt: fizyczny — podlegający sankcjom karnym oraz psychiczny - powszechnie akceptowany i dokonywany przez otoczenie ofiary. Jest to jedyny rodzaj przestępstwa, którego ofiara, jeżeli jest to kobieta (przemoc seksualna wobec dzieci częściej wywołuje oburzenie), poddawana jest oskarżeniom lub wyśmiewana.

Czy inne ofiary przestępstw są równie źle traktowane? Czy wobec osoby okradzionej wysuwane są zarzuty, że nie powinna była mieć przy sobie pieniędzy, biżuterii, że nie powinna afiszować się tak luksusowym samochodem (czy może w ogóle nie mieć samochodu)? Tymczasem tu uczucia ofiary są ignorowane, tak jakby wymuszenie dokonania czynności seksualnych było czymś absolutnie naturalnym i należnym sprawcy. W ten sposób ujawnia się rzeczywiste, acz nie artykułowane oficjalnie podejście do kobiety -jesteśmy wciąż traktowane przedmiotowo. I właśnie walka z tego typu przemocą — nie samym przestępstwem, bo od tego jest wymiar sprawiedliwości, lecz z jego odbiorem w przestrzeni publicznej stanowi wyzwanie dla feministek i feministów.

Jak na razie efekty są raczej mizerne. Niedawna inicjatywa - „Marsz szmat” nie spotkała się z szerokim pozytywnym oddźwiękiem, ani nawet ze zrozumieniem, ale każde działanie o charakterze informacyjno-edukacyjnym ma znaczenie w sytuacji wielopokoleniowych zaniedbań.

Nie mamy, niestety, w Polsce tradycji silnych ruchów feministycznych, do których osiągnąć można by się odwoływać. Wynika to poniekąd z naszej historii, w której przez pokolenia priorytetem była wolność pojmowana dość abstrakcyjnie — w oderwaniu od realiów społecznych. Prawa obywatelskie przyznane kobietom po zakończeniu I wojny światowej stanowiły coś w rodzaju rekompensaty za poświęcenie w okresie zaborów, natomiast obowiązująca w PRL poprawność polityczna wynikała wprost z obowiązującej ideologii. Pozycja polskich kobiet nie była więc wynikiem zmiany mentalności społecznej, lecz czynników zewnętrznych. I chyba właśnie brak doświadczenia w walce o własne prawa jest dziś największą słabością organizacji feministycznych.

Pierwszą spektakularną porażką było wprowadzenie w latach 90-tych restrykcyjnej ustawy antyaborcyjnej (żartobliwie zwanej kompromisem) i od tego momentu właściwie aktywność organizacji feministycznych przekierowana została na bezpieczne (bo powszechnie akceptowane) obszary, w tym zwiększenie liczby żłobków, przedszkoli, przewijaków w zakładach pracy, czy wsparcia finansowego dla rodzin. Są to sprawy niewątpliwie istotne, ale umieszczając te kwestie

w perspektywie feministycznej spycha się kobiety jeszcze głębiej do „matecznika biologicznego”, ignorując jednocześnie (niesłusznie) rolę ojców w wychowaniu i utrzymaniu rodziny. W ten sposób zamiast walczyć z dyskryminacją kobiet, tworzy się obszar dyskryminacji mężczyzn i to akurat tej części, która do swoich obowiązków rodzicielskich podchodzi poważnie. Najbardziej drastycznym tego przejawem jest ograniczanie możliwości kontaktów z dziećmi, co jest właściwie normą w orzecznictwie polskiego wymiaru sprawiedliwości.

Rozumiem, że w kraju, w którym koronowano matkę — dziewicę na królową, ideałem jest poczęcie bez udziału mężczyzny, jednak ten nietypowy przypadek dzieworódtwa (prawdopodobny, gdyby dziecko było płci żeńskiej) nie miał miejsca od ponad dwóch tysięcy lat i nigdy w naszym kręgu kulturowym.

Nie chcę tu się przedstawiać, jako krytyczka organizacji feministycznych, bo i tak jakakolwiek działalność jest lepsza od braku działalności, jednak widzę wyraźnie, że w Polsce chyba zabrakło odwagi, aby zdiagnozować dokładnie przyczyny upośledzenia kobiet w sferze publicznej. Jest to o tyle zrozumiałe, że źródłem przemocy wobec kobiet jest Kościół, przy czym jedyna osoba, która zdecydowała się mówić o tym publicznie — p. prof. Magdalena Środa, została nieomalże zlinczowana medialnie. Od tego czasu działalność organizacji feministycznych koncentruje się na mniej kontrowersyjnych zagadnieniach, od czasu do czasu wzbogacając je problematyką i rozwiązaniami skopiowanymi z państw o wyższym poziomie rozwoju społecznego, stąd nie zawsze znajdującymi zrozumienie w naszym kraju. Jednym z takich rozwiązań są **parytety**.

Gdy mowa o parytetach często pojawiają się głosy, że to uwłacza kobietom lub że „kryterium płci” (czy wręcz kryterium genitalne) jest najgorszym z możliwych, jakie można wprowadzić. W pełni się zgadzam, tyle że to kryterium obowiązuje od stuleci, w niektórych społeczeństwach od tysiącleci. Po prostu jak na razie dotyczy innej płci — tej, która przyzwyczajona do posiadania przywilejów, uważa taką sytuację za naturalną. Muszę podkreślić, że jest mi dalece obojętne podłoże przekonania o „naturalności” tego zjawiska — religia, czy inne źródło prawdy objawionej (np. socjobiologia). Jest to bowiem tylko sposób uzasadniania dyskryminacji.

Sama jestem sceptyczna wobec parytetów, ale nie dlatego, jakoby uwłaczały one kobietom. Po prostu obserwując scenę polityczną, odnoszę wrażenie, że nie obniżyłoby jej jakości losowanie próby reprezentatywnej spośród całej populacji naszego kraju, posiadającej bierne prawo wyborcze. Odrębny problem to obsadzanie najwyższych stanowisk w spółkach skarbu państwa, bo według mnie należy przemyśleć raczej celowość ich mnożenia i utrzymywania. Nie widzę natomiast powodu, aby wymuszać parytety na podmiotach prywatnych, bo jest to niezgodne nie tylko z regułami wolnego rynku, ale także zdrowego rozsądku.

Brak sukcesów, a nawet pomysłów na własne oryginalne rozwiązania owocuje między innymi projektami tworzenia stricte „kobięcych” struktur partyjnych, co prawdę powiedziawszy nie wzbudza we mnie entuzjazmu. Wykluczenie — tym razem płci przeciwnej — to nic innego, jak kopiowanie wzorów, które współcześnie nie mają racji bytu, bo zostały już dostatecznie skompromitowane. Ponadto partią, która wprowadziła bodajże najwięcej kobiet do sejmu jest PiS, a nie znajduję nawet milimetra kwadratowego wspólnych z nimi przekonań. Podobieństwa anatomiczne to trochę za mało, aby ktoś reprezentował moje interesy, czy nawet zyskał gorące poparcie dla swoich działań. Dlatego dość szybko przeszła mi fascynacja osobą Margaret Thatcher ^[6], która wobec wcześniejszych karier politycznych p. Bandaranaike ^[7], czy Indiry Gandhi ^[8] nigdy nie stała się dla mnie symbolem emancypacji kobiet, lecz raczej europejskiego zacofania w tym zakresie w stosunku do Azji.

Oczywiście popieram udział kobiet w życiu publicznym, przeważnie oddaję swój głos w wyborach na kobiety, co jest łatwe, bo z reguły mają wyższe kwalifikacje. Jednak wrodzony pragmatyzm nakazuje mi lokować sympatie polityczne po tej stronie, która ma dla mnie ofertę i zdaje się być wystarczająco skuteczna do jej realizacji. Dlatego, choć to pewnie zabrzmia cynicznie, gdyby jeden z najlepszych polskich biznesmenów — Tadeusz Rydzyk zadeklarował, że oto znudziła mu się działalność w ramach Kościoła i zaczyna walczyć o prawa kobiet, na poważnie rozważyłabym swoje dla niego poparcie, właśnie z uwagi na dotychczasową skuteczność.

Sam postulat popierania kobiet w życiu publicznym dlatego tylko, że są kobietami, może wywołać głupawe komentarze o tzw. „solidarności jajników” (nb. nie słyszałam nigdy o solidarności jąder, co najwyżej o „prawdziwej męskiej przyjaźni”, niekiedy szorstkiej). Tym tropem idą komentatorzy medialni, którzy każde wydarzenie w sferze publicznej z udziałem kobiet starają się podciągnąć pod feminizm, spekulując na przykład, jakie zajądą zmiany w preferencjach wyborczych wśród żeńskiego elektoratu. W ten właśnie sposób omawiano dwa, kompletnie nieistotne wydarzenia, opatrując je mianem „feministycznych”. Pierwsze dotyczyło niefortunnego użycia przez znanego polityka słowa „gwałt” w kontekście zachowania wicemarszałkini sejmu, drugie natomiast — odejścia byłej Pierwszej Damy (osoby dość nijakiej i zmanierowanej popularnością) z Kongresu

Kobiet. W pierwszym przypadku przewidywano porażkę wyborczą RP z powodu utraty poparcia żeńskiego elektoratu, drugie wydarzenie miało wstrząsnąć ... czymś tam (za bardzo nie rozumiałam).

Jestem pewna, że ewentualna przegrana RP nie będzie wynikiem „kłótni w piaskownicy”, lecz względów bardziej merytorycznych, a nasi komentatorzy życia społecznego, w tym, niestety „ikony” polskiego feminizmu, mogliby wykazać się większym szacunkiem dla polskich kobiet, nie traktując nas, jak bandy idiotek.

W drugim przypadku okazało się, że sprawa miała kontekst raczej rodzinno-medialny (niewystarczające uznanie dla męża, który przecież „wielkim politykiem jest”) czyli celebrycki, a w rankingu zainteresowania opinii publicznej lokowała się nieco poniżej reklamy z udziałem Dody, seksownie oklejonej taśmami z supermarketu. Z politycznego punktu widzenia oba „eventy” miały oczywiście znaczenie porównywalne, czyli żadne. Jednak przedstawianie tego typu zdarzeń, jako feministycznych, z uwagi na udział w nich kobiet, to kolejny przykład ignorancji lub świadomej manipulacji. I smutne jest, że nawet przedstawicielki organizacji feministycznych dają się wkręcić w tematy zastępcze, które albo z feminizmem nie mają nic wspólnego albo wręcz negują samą ideę.

Było to widoczne również w trakcie nagonki na prof. Mikołajko, który ośmielił się skrytykować grupę młodych matek za hałaśliwe i nieodpowiedzialne zachowanie. Sprawa ta wywołała konsternację wśród pań, nie odzégnujących się od feminizmu, natomiast niespecjalnie entuzjastycznych wobec naruszania norm społecznych. Mnie zaintrygowała z zupełnie innego względu — po raz kolejny nie mogłam się doszukać niczego, co kojarzyłoby się z równouprawnieniem / dyskryminacją płci. Jeżeli chodziło o to, że krytykę sformułował pan profesor, a nie jego żona, wystarczyło sprawdzić, czy podziela ona jego stanowisko w tej sprawie.

Słabość ruchu feministycznego w Polsce, mająca źródła między innymi w niskiej świadomości politycznej naszego społeczeństwa przekłada się często na taką właśnie nadinterpretację pewnych zdarzeń i nadawanie im nieistniejącego kontekstu. Przecież **konflikt, którego stronami są przedstawiciele różnych płci nie staje się przez to automatycznie feministyczny**. Po prostu taką mamy strukturę społeczną, że ponad połowę dorosłej populacji stanowią kobiety i na co dzień wchodzimy ze sobą w różnego rodzaju interakcje, a konflikt jest jedną z form tychże interakcji.

Może lepiej więc zachować zdrowy dystans zarówno wobec sensacji medialnych, jak i tematów importowanych, nadając priorytet innym — realnym problemom, wymagającym pracy u podstaw. Ale tą pracę u podstaw powinniśmy wykonywać wszyscy, głównie my — kobiety. I nie chodzi mi o zaangażowanie w działalność instytucjonalną, lecz zwykłe, codzienne podejście do tematu.

Feminizm został już chyba tak dalece zohydrony i wyśmiany, że rzadko która kobieta odważa się przyznać publicznie, że jest feministką. Mało tego — większość energicznie odzégnuje się od feminizmu, jakby wręcz uwłaczała ich kobiecości. Bierze się to głównie z takiego właśnie przekazu medialnego, gdzie postulaty feministyczne sprowadzane są do nieuprawnionych roszczeń grupy rozwydrzonych, pyskatych bab (do tego brzydkich, zaniedbanych i samotnych), pałających żądzą wymordowania „nienarodzonych”, a sama idea przedstawiana jest często, jako ideologia i stawiana na równi z komunizmem, faszyzmem lub działalnością sekciarską, czyli para religijną. Należy więc zacząć od uświadomienia - każdorazowo, gdy mowa o feminizmie — że **przeciwieństwem równouprawnienia jest dyskryminacja**, stąd przeciwniczka feminizmu musi być albo masochistką, albo ... kompletną idiotką. Jeżeli komuś takie określenie wydaje się zbyt mocne, to prawdopodobnie nie miał nigdy okazji wysłuchać „argumentów” strony przeciwnej. Kto chociaż raz stał się obiektem słownej napaści, zgodzi się ze mną, że nie ma tu miejsca na taryfę ulgową. Ponadto muszę stwierdzić, że w większości przypadków kobieta energicznie protestująca przeciwko feminizmowi, jeżeli nawet nie jest idiotką, to jej argumenty na pewno są idiotyczne — żywcem wyjęte z publikacji prawniczych lub kazań kościelnych. Nasze indywidualne reakcje, zwłaszcza kobiet, są tym ważniejsze, że nie wierzę w upowszechnienie rzetelnej wiedzy na temat feminizmu, o ile nadal głównym źródłem jej pozyskiwania będą media.

Natomiast każdy, bez względu na płeć, kto nie chce uchodzić za kompletnego laika w sprawach społecznych, powinien przed podjęciem dyskusji na temat feminizmu, sięgnąć do starego, poczciwego Kopalińskiego — „Feministka — zwolenniczka feminizmu, ruchu dążącego do politycznego i społecznego równouprawnienia kobiet”.

To przecież tylko tyle i aż tyle.

Zobacz także te strony:

[Femino - manifest](#)

Przypisy:

- [1] Najsłynniejszy polski błazen; według anegdoty wygrał zakład, udowadniając, że najliczniejszą grupą zawodową w Polsce są lekarze - każda z przygodnie spotkanych osób była gotowa udzielić mu porady medycznej.
- [2] W. Kopaliński *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych*, Wydanie XVII rozszerzone, PW "Widza Powszechna" - Warszawa 1989
- [3] Tamże str. 166
- [4] S. Blackburn *Oksfordzki słownik filozoficzny*, Książka i Wiedza, Warszawa 1997, str. 120
- [5] Każdorazowo Kościół rzymsko - katolicki.
- [6] Premier Wielkiej Brytanii w latach 1979-1990
- [7] Pierwsza kobieta na świecie sprawująca urząd premiera Cejlonu / Sri Lanki, w latach 1960-65, 1970-77 i 1994-2000
- [8] Premier Indii w latach 1966-67 oraz 1980-84

Anna Salman

Publicystka

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 15-06-2013)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,9031) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,9031>)

Contents Copyright © 2000-2012 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2012 Michał Przech

Właścicielem portalu Racjonalista.pl jest Fundacja Wolnej Myśli.

Autorem portalu jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie elementy tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej,

w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl